

Nie chcę żyć w świecie Kaiki...

Gdyby się tak bliżej przyjrzeć naszemu życiu codziennemu, to można by stwierdzić, że istnieją jakieś siły, które próbują wpędzić nas — zwykłych obywateli, w sytuację, gdzie czulibyśmy się jak ów geometra K. z powieści Kafki, borykający się w beznadziejnym uporze do tarcia i skomunikowania się z mitycznymi, niewidzialnymi mieszkańcami „Zamku”. Nie chcę być w sytuacji geometrii K. Jest to uczucie koszmarnie jeszcze głośnie w małych rzeczach. Człowiek, który w swoich układach, przedsięwzięciach, transakcjach nie ma do czynienia z partnerem, tylko z próżnią, milczeniem lub mgłą — może łatwiej oszaleć, niż w jakichkolwiek innych okolicznościach.

Słyszałem o pewnym znajomym małżeństwie, które rozwiódło się, ale mieszka z konieczności w tym samym, wspólnym mieszkaniu. Separacja jest pełna — wewnętrzne drzwi zabite gwoździami. Eksmałżonka założyła między sobą a eksmężem taki mały wewnętrzny telefon. Ma on tę właściwość, iż działa tylko w jedną stronę — od niej do niego. Co pewien czas ta pani dzwoni do tego pana domagając się pieniędzy. Więcej nie mają

sobie nie do powiedzenia, to też odwrotnego kabla nie trzeba. Otóż twierdzą, że jakieś tajemnicze siły działają, aby nie mała ilość relacji, istniejących między obywatelem a Instytucją, w naszym kraju, zamieć w taki właśnie jednokierunkowy telefon. Ażby istniał tylko jeden kierunek dialogu: z niewidzialnego „Zamku” — do mnie, i jeden temat: płacić.

Nie zgadzam się na to. Chcę, żeby te siły zostały ujawnione. Chcę mieć do czynienia zawsze z kimś konkretnym, po drugiej stronie. Chcę znać nazwisko i stanowisko tego konkretnego człowieka, który reprezentuje Instytucję i który za dotrzymanie przez nią umowy odpowiada.

Bo jak to praktycznie wygląda? Ja mam zawsze termin wykonania swojej roboty, natomiast Instytucja może mi za nią zapłacić dziś, może jutro, może być punktualna a może do wolnie przesuwając terminy w nieskończoność. Ja muszę zapłacić każdy rachunek w terminie, bo mnie „wyłącza”, kupię każdy bilet z góry, bo mnie nie wpuszczają — ale jaką mam gwarancję otrzymanej w zamian usługi? Nie zapła-

cę elektryczności, nawet przez nieuwagę, jeden dzień opóźnienia — przyjdzie pan i światło mi zgaśnie. Ale jeśli prąd wyłącza w toku nawet najpilniejszej pracy bo... „trudności techniczne”, bo... „pion”, czy „kabel” — nikt nigdy odszkodowania żadnego mi nie da, mogę się tylko wykrzyknąć.

Zawsze mam kłopot kupując bilet na pociąg, zwłaszcza na dłuższej trasie: czy kupić pierwszą klasę, czy drugą? Kupię pierwszą i będę stał całą drogę na korytarzu, kiedy w drugiej może mógłbym siedzieć. Fakt wydania przeze mnie pieniędzy nikogo do niczego wobec mnie nie zobowiązuje. Najlepiej dobrać z gazem. Gazu nie mam przez cały dzień. Ale rachunek za gaz i gazomierz muszę płacić. Nie ma tu żadnej funkcjonalnej wymiany usług — jest ustawowy obowiązek.

A owe słynne stosunki między obywatelem a pralnią mechaniczną, która na odwrotcie rachunku za pranie drukuje jak byk, iż NIE ZOBOWIĄDUJE SIĘ wywabiać plam, uchronić garnitur od zniszczenia, określić terminu wyczyszczenia itd. czyli nie zobowiązuje się do niczego... Ale w razie niewykupienia przez klienta w terminie... sprzedaje ubranko na licytacji.

Mógłbym takich przykładów przytoczyć więcej: z restauracji, z hotelu, z autobusu, z redakcji.

Czytelnik uśmiecha się w tym miejscu, że zgrywam naiwnego, nie liczę się z trudnościami obiektywnymi i w ogóle przesadzam.

Doceniam trudności obiektywne. Wierzę w ich

prześciowość. Ale chodzi mi o co innego. Chodzi mi o to, że w każdym takim wypadku po stronie Instytucji powinien istnieć ktoś uchwytne: dyrektor, naczelnik, inspektor, odpowiedzialny za niedotrzymanie umowy. Ażby wobec obywatela nie stwarzało się pozorów, że za wszystko odpowiada państwo, ustrój... w ogóle. Żeby nie stwarzać tego świata abstrakcji, świata Kafki, gdzie pojedynczy człowiek podporządkowany jest mitycznemu, nie widzialnemu „Zamkowi”, gdzie telefon działa tylko w jedną stronę.

Oczywiście są to wszystkie drobniaczki, które być może nie uzasadniają wyciągania z nich aż tak zasadniczych wniosków, aż tak poważnego podsumowania. W stosunku do uciążliwych drobniaczek — jak mawiał pewien mój kolega — są dwie metody: trzeba abstrahować... albo polubić. Próbowałem jednego i drugiego. Nie wychodzi. Po prostu na co dzień żyje się drobniaczkami. I w końcu ilość przechodzi w jakość. Z drugiej strony przyznać się muszę po cichu, że mógłbym właściwie napisać drugi taki sam felieton, stawiający sprawę od przeciwnej strony — jak to naprawdę u nas obywatel wywiązuje się ze swoich zobowiązań. Obraz byłby może niemniej irytujący. Jeśli jednak istnieje takie „sprężenie zwrotne dodatnie” (mówiąc nowoczesnym językiem cybernetyków), któraś strona musi okazać wyższość. Sądzę, że pedagogika należy przede wszystkim do Instytucji i one powinny dawać przykład.

ANDRZEJ BRAUN
(„Życie Warszawy”)



Jacek Kukła

Kiedy nas nie będzie
nikt nie zauważy
jak nie widzi się jezior
w deszczowy ciemny dzień

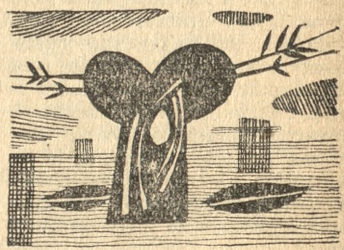
a drzewa umierają, kwiaty, wodospady
z ziemi kamienistej kurz ściera
ręka wiatru
noc biegnie na swój zachód drobny
krokiem światła
spłoszona wielobarwnym gaworzeniem
ptaków

w miłości jak w pokoju pustym
zamieszkają nowi lokatorzy
nasze twarze, słowa i zdarzenia
do cieniowych wzgórz odnajdą drogę

tak jak twoje uśmiechy zginą
moje wiersze

wyrzucone na strychy w ciepły
pył zapomnienia
na drzwiach wizytówki natychmiast
zamienią
pod oknem — nie twoim już ktoś
inny przejdzie

już nikt nie zauważy kiedy nas
nie będzie
a kiedy wiosna zstąpi w ulicę
wszystkich świętych
ona za nim powtórzy odwieczne
zaklęcie
„...en vous ma mort, en vous ma vie”.



HEMINGWAY



Autor „Komu bije dzwon” przy swoim sławnym pulpicie. Wielki prozaik

Pozostał sam z całej plejady pisarzy amerykańskiego okresu międzywojennego dwudziestolecia. Gertruda Stein i Scott Fitzgerald — umarli. Art Crane i Harry Crosby popełnili samobójstwo. Ezra Pound, zwolniony z zakładu dla obłąkanych zaszył się gdzieś we Włoszech. Ernest Hemingway został sam — ze swoją nagrodą Nobla (1954), swoimi wspomnieniami i swoją legendą.

Każda książka tego „krwawego Amerykanina” (przydomek, jaki przyniosła

pisarzowi jego postawa antykonformistyczna) stanowi nie lada wydarzenie. Ostatnia jego powieść „Stary człowiek i morze” (opowieść o kubańskim rybaku, zmagającym się z olbrzymią rybą, rodzaj alegorii życia światem jego najbardziej dojrzałe dzieło, świetnie napisana epopeja z lat hiszpańskiej wojny domowej, wydane również u nas — „Komu bije dzwon”).

(Dokończenie na str. 2)

Liliana Cagara

akacje

Opowiadanie wyróżnione w konkursie literackim „Nowego Świata”

Latem niebo w Uzbekistanie jest wyblakłe, jak spłowiała kapa lub sukienka, na którą stale padają promienie słońca. Słońce — wielki balon, wiecznie spragniony wody. Ziemia broni się jak może. Płodzi akacje — cierpliwe, pachnące drzewa.

W takie skwarne południe, kiedy soczyste liście tulili się do glinianych ścian uzbeckich lepiank, szłam wzdłuż ulic miasta. Ziemia buchała żarem, czułam jej piekło nawet przez podeszwy litych samodziślowych sandałów. Słońce paliło czaszkę, ramiona, prawie prostopadłe rzucało cień, krótki i nieforemny. W parku, który prześlizgiwała się dalsza

partia chodnika, cień zniknął tylko na krótko, w miejscach pozabawionych akacji.

Nieznamy młody człowiek zagradzał mi dalszą drogę. Ubrany w mundur żołnierski i okragłą czapkę, przyglądał mi się uważnie z odcieniem zmieszania. Gdy usłyszał co mówię, drgnął a potem zaczął się śmiać. Zobaczyłam dwa rzędy białych, równych zębów. Oczy mu zbłękitniały. Zgadł, czego się boję.

— Ja aresztować?! Czy podobny jestem do tych którzy aresztują?

Staliśmy na środku alei w parku, która tu zastępowała ulicę. Jezdnia ciągnęła się obok za gęstym żywopłotem

morwy. Przechodnie odwracali głowy.

— Pani mi daruje. Jestem natrętny, na ulicy zaczepiam młodą dziewczynę. Ale znam panią, wiem, gdzie pani pracuje. W przedszkolu. Tak? Chodzi pani codziennie o tej porze do ambulatorium.

Stałam osłupiała.

— Chciałam, no, przystąpić odrazu do rzeczy, chciałam zrobić pani mały etiud. Nie daje mi to spokoju. Nie wiedziałam, w jaki sposób o tym pani powiedzieć.

„Etiud”? Czyżby muzyka? Nie chciałam zbliżać się słabą znajomością terminologii artystycznej w języku rosyjskim.

— Nie rozumiem słowa „etiud” — powiedziałam po prostu. — Nie jestem Rosjanką. Jestem Polką — dodałam z lekką dumą.

Zakołysał się. Popatrzył w niebo.

— Wasz Matejko, Chełmoński...

Potarł ręką czoło jakby coś sobie przypominał. Potem uśmiechnął się i wytłumaczył słowo „etiud”.

— Ja nie mam twarzy do portretu — tłumaczyłam nieufnie. — A zresztą samo malowanie... Przecież do tego trzeba miejsca.

— Ja tu stajonuję — wskazał palcem na budynek po przeciwnej stronie ulicy. Okna były szeroko otwarte, z dużej sali dobiegały dźwięki forte-

pianu. — Tu pracuję, w klubie żołnierza.

Nalegał, abym wyznaczyła spotkanie. Zrywał gałązki akacji, ustami oskubywał listki.

— Byłem na froncie. Po zranieniu cofnięto mnie aż tu do Katta — Kurganu. Maluję. O, co potrzeba... Portrety — uśmiechnął się pobłażliwie — plakaty i różne różności. W wolnych chwilach chciałoby się malować to, czego nie potrzeba. Mam w Czelabińsku starą matkę. Kształciła mnie w Leningradzie w Akademii... Myślała, że wyrośnie ze mnie prawdziwy malarz. A potem pisała do szpitala, że tylko abym żył to i ona będzie żyła. Żyje. Na front już nie pójdę. Dwa lata. Lewa ręka kontuzjowana...

Palce bawiły się klamrą rzemieennego pasa.

— Traktuję to wszystko jako tymczasowość. Wojna prędko się skończy...

Spostrzegł w moich oczach błysk.

— Przecież dla nas to wszystko. Powrót do domu i...

— Do Polski?

Kiwnęłam głową, jak na pożegnanie.

— Musi być pani bardzo szczęśliwa. Tęsknota to coś wspaniałego. Ja... tęsknię za matką, za swoimi prawdziwymi pędzelkami i... Bóg wie za

(Dokończenie na str. 2)



Pisarz z żoną. Na honorowym miejscu — Petersen, jeden z ulubionych kotów.

(Dokończenie ze str. 1)

Obecnie dużo mówi się o jego następnej powieści, jak równie o pamiętnikach, które pisarz ma na warsztacie. Do tysięcy reportaży, które zostały mu poświęcone, pisarz dorzucił więc swój własny; jego głównym tematem będzie Paryż i sprawa tzw. „zagubionego pokolenia”. Ażby ukończyć tę pracę, Hemingway opuścił swoją kubańską fermę, swoje 52 koty, trzy krowy i 200 gołębi i udał się do San Vally, małego ośrodka sportów zimowych w górach Idaho. Fotografowie mają teraz nowy temat do zdjęć. W miejsce szortów, luźnej koszuli i sandałów, Hemingway ofiaruje im krepą sylwetkę niedźwiedzia w czerwonej koszuli, wełnianej kurtce i czapce z daszkiem. Ale człowiek pozostał ten sam.

Wokół Hemingwaya istnieje cała legenda. Od czterdziestu lat nie ma poważniejszych wydarzeń w świecie, w które nie byłby włączony; obydwie wojny światowe, konflikt japońsko-chiński, wojna domowa w Hiszpanii. Jeżeli jakichś wypadków nie przeżył, to był przynajmniej tuż u ich wrót. W Kenni, dokąd udał się na wieść o pamiętnych wydarzeniach, o mało nie zginął w katastrofie lotniczej. Gdy powrócił na Kubę — pewnego pięknego poranka spostrzegł, że jego wille otaczają brodac, uzbrojeni ludzie: zaczęła się walka Fidel Castro z dyktatorem Batistą.

Pisarz powiedział kiedyś: „Wojna jest jednym z największych tematów i bez wątpienia najtrudniejszym do opisanie”. Aczkolwiek temat wojny pasuje go jako pisarza, Hemingway daleki jest od apoteozy tego barbarzyństwa. Na polach wszystkich bitew, w jakich brał udział, nie szukał niebezpieczeństwa czy bohaterstwa wyczynów, ale żaru i atmosfery walki, a przede wszystkim — przeżyć ludzkich. Jako korespondent zagraniczny pism amerykańskich w Europie, nauczył się Hemingway odróżniać wojnę na froncie od wojny polityków, speców od międzynarodowych konferencji i cynicznych machinacji. Kuli-

sy tej kapitalistycznej „polityki” ujmie później w lapidarnym stwierdzeniu: „Krajem rządzi jedna klasa, która jest głupia, nie rozumie i nigdy nie potrafi zrozumieć. Dlatego mamy wojnę”.

Hemingway, wytrawny poszukiwacz Wielkiej Przygody, mistrz niedoścignionego w swej lapidarności i prostocie stylu, mimo przekroczonej w lipcu 60-ki, znajduje się w pełni sił twórczych i na pewno jeszcze niejedno jego dzieło wzruszy miłośników męskiej, szczerzej i głęboko humanistycznej literatury.

(jm)



W DWUDZIESTĄ ROCZNICĘ

Czytając tę książkę*, starsze pokolenie, które na własnej skórze przeżywało okupację hitlerowską, przypomni sobie ścieżki, którymi zdążyła polityka III Rzeszy do opanowania świata. Młodsze zaś pokolenie będzie mogło wytworzyć sobie jaki-taki obraz tego, co przeżyła Europa.

Książki na te tematy są ciągle aktualne, a zwłaszcza teraz, kiedy sam Adenauer nie wstydzi się nakładać na siebie płaszcz krzyżacki. A więc tam historia zaczyna się powtarzać. Uparty niedouk chce po raz trzeci repetować wojnę.

Autorzy w oparciu o materiały archiwalne, zdobyte przez armie alianckie w Berlinie, prowadzą czytelnika od „Bürgerbräukeller” w Monachium z nieznanym wówczas Adolfem Hitlerem, poprzez płomienie Reichstagu i zwycięstwo dyplomatyczne w Monachium do aneksji Czechosłowacji.

Książkę, mimo iż to nie powieść, czyta się jednym tchem.

J. P.

* J. Bernas i L. Meissner: „Brunatni słowcy śmierci” — LSW 1959, str. 336, cena 25 zł.



Po dłuższym, samotnym spacerze — spotkanie ze starymi przyjaciółmi. Hemingway bardzo ceni sobie towarzystwo takich jak on obywateli, nie lubi natomiast ludzi z tak zwanego high-life'u.

Zdjęcia (3) — „Paris Match”

Chodźmy, wywołasz matkę do portierni.

Nie mogła wyjść. Wcisnąłam portierowi parę rubli i wbiegłam na korytarz. Odnalazłam drzwi i salę. Leżała na wznak z zamkniętymi oczami, przykryta szczelnie kocem, aż do brody. Wyglądała na to, że ma dreszcze. Ukłękłam cicho u wezłowa.

Uniosła powieki i spojrzała na mnie uważnie.

— Przyszłaś? Moje bledne dziecko! — głos jej załamał się. — O mnie nie bój się. To już nie tyfus. Tamto minęło — przerwała, przełykając ślinę. A potem naraz poderwała głowę i wysunęła ręce spod ko-

ca. — Tamarko, jak mogłaś! Jak mogłaś tak mnie oszukiwać? Skąd te ciastka, coś mi przyniosła kiedyś i te morele? Czy łałam coś, ale wierzyłam w ciebie i nie chciałam dopuścić złych myśli, bo chyba nie wyzdrowiałabym. A dziś przyszła stara Zawakiewiczowa, teraz już wiem. I to ty? Czy zapomniałaś o tym wszystkim, co ci kiedyś tak często mówiłam?

Poruszyła palcami po szarym kocu. Zawahała się.

— Nie wiem kto to jest. Może to i najlepszy człowiek. Ale to tym gorzej. Chyba nie wyjdę z tego szpitala już nigdy...

Łzy posypały się po żółtej twarzy, jak perełki z rozrwanego sznurka.

— Wiem, jak bardzo tęsknisz za krajem, Tamarko! Miłość, jeśli istnieje, to tak jak lampka. Przepali się, gdy zabraknie paliwa. A życie pozostaje i trzeba żyć. Może być tak, że pozostaniesz sama. Tęsknota wysuszy cię. Obrzydnie ci cały świat.

Leżała skurczona wychudzona i drobna, jak dziecko. Pociągnęłam suchość w gardle.

— Bądź spokojna, mamu — powiedziałam. Potem podzieliłam się wiadomościami z frontu. Podparła się drżącymi łokciami na łóżku i uważnie słuchała. Wkrótce pielęgnarka wyprosiła mnie z oddziału.

Na niebo wyszedł księżyc. Woda w kanale ożyła tysiącem srebrnych husek. Wiktor nucił starą cygańską piosenkę. Usiadłam na brzegu. Potem przyglądałam się długo mojej twarzy i rzuciłam parę kamyczków w głąb toni.

Na stepie w oddali majaczyły sylwetki idących Uzbeków. Śpiewali przejmującą, monotonna melodię. Za chwilę pozostaną bardzo sama.

*

Na Uzbekistan opadła powolna, tępa jesień. Rozmiękła od deszczu glina. Kanał spęsniał. Napił się wody i był pijany. Dni wlokły się w dreszczach wilgotnej, nie opalanej lepianki, zagrzewanej gorącą wodą i garścią suszonego „urinku”. Dzieci do przedszkola przychodzili z posiniąłymi nosami i drętwiejącymi dłońmi. Wiera Dawydówna mamrotała pod nosem, gdyż zwilgotniałe ziarenka bawełny nie chciały się palić. Z frontu przychodziły wieści o zaginionych, zabitych i rannych.

Przyszedł listonosz. Podał mi kartkę papieru, złożoną w trójkąt. Był to już drugi list od Wiktora, tym razem krótki, pełen wykrzykników i zapytań. Poczułam się bardzo mała i śmieszna. A potem chciałam się płakać. Za tydzień otrzymałam znowu. Mleczkałam. Nie odpisywałam. Każdy z nich za wierał podobną treść, były tytułowane i podpisywane po polsku.

Z czasem zaczęłam się już bać tych bliźnich trójkątów. Ostatni przyszedł w 1945 r. w styczniu. Był jakiś inny, pismo niekształtne, część liter zamazana a zdania urywane.

Czytałam:

„Bez ciebie żyć mi trudno. Postanowiłem pójść na front. Zanim ty wrócisz do swojej Ojczyzny, ja biegne, aby już teraz pozdrowić ją od ciebie. Już blisko jestem. Może spotkamy się tam jeszcze kiedyś. Bądź zdrowa — moja mała Polko.”

*

Wróciłam.

Mój syn lubi chodzić na spacer na Cytadellę. Liczy sobie sześć lat i wydaje mu się, że ma wyobrażenie o wojnie. Prosi często, by mu w głos odczytywać imiona i nazwiska poległych. Powtarza za mną i jest przekonany, że uczy się tego trudnego języka.

A potem razem szukamy drzew akacji.

Poznań, 1958.

Ilustrował Lech Susicki



(Dokończenie ze str. 1)

czym jeszcze. Będę tu dziś oczekiwać na panią. Wieczorkiem — dorzucił i odszedł.

*

Cienie uwymykwały się, łagodnie i miękko ukiadały w skośne wydłużone kształty. Umęczone drzewa tklawie prostowały miękkie palce liści. Sterane muły, obciążone ciężarem tubylców, leniwie ciągnęły przez miasto. Mężczyźni siedzieli przed domami tuż na chodnikach. Rozścielali małe dywaniki wprost na ziemi. Zabawnie krzyżowali nogi. Popijali herbatę z okrągłych porcelanowych pióli. Obnażone karki lśniły hebanowym potem. Nawoływania mułów nie szły się z dźwiękami dzwonków na wielbłądzych szybach. Szły majestatycznie, w skupieniu. Nad kanałem, przecinającym miasto na dwie części, unosiła się lekka mgła.

Przeszłam przez park. Wylot drogi na kanał. Wiktor poderwał się z ławki, ale pozostał na miejscu. Chciałam jak najprędzej pokonać te kilkanaście kroków dzielących nas przez strzeń, aby uniknąć jego oczu z daleka. Automatycznie ruszyliśmy w kierunku centrum miasta. Lekko ujął mnie pod ramię. Opuściłam je nieznacznie. Obserwowałam twarz, ramiona i nagle poczułam, że to wszystko nie ma najmniejszego sensu. Kiedy mu o tym mówiłam patrzył na mnie zdziwionymi oczami. Mówiłam coraz więcej, i coraz bardziej ogarniało mnie rozdrażnienie i niepewność.

*

Z czasem spotkania stały się koniecznością. Matka zachorowała na tyfus. Odprowadziłam ją do szpitala. Ostrzyżono jej włosy. Wyglądała strasznie. Wiktor stał się jedynym moim powiernikiem. Był człowiekiem, który tchnął ciepłem i dobrocią. Uśmiechałam się na przywitanie prawie bezwiednie, a on podbiegał jak dziecko, chwytając w ręce moje dłonie i przyciskał je do wypłowiałej rubachy. Potem uchodził do miasto w jakieś nasypy obok kanału i krył się w przybrzeżnych werstepach, skąd było widać dwa stołki, przecięte wysoką linią przeciwnego brzegu kanału. Opowiadałam o Polsce o dzieciństwie. Wiktor marzył jak kiedyś namaluje ten kanał z dwiema plamkami u brzegu.

Kiedyś przyniosł mi kawałek chleba. Z chlebem wówczas było kiepsko. Nie chciałam jeść, więc wyjął z kieszeni mały scyzoryk i delikatnie rozkroił kromkę na dwie części.

— Kiedy zaareztują mnie, będę wiedziała, że to twoja sprawa... — powiedziałam.

— Och ty, duroczka...

Zapałzył się w niebo za kanałem.

— Poszedłbym pracować do teatru, jako dekorator. Wracam do domu zmęczony i głodny.

ny. Tamarki nie ma. Ale na stole karteczka „zaraz wracam”. I wraca Tamareczka: Witia, Witinka ja ci pędzelki kupiłam... Patrz, dobre? Bo tamte zdarte, jak dziadowska broda...

Trudno było mu w tej chwili przerywać. Ale sam zatrzymał się i popatrzył pytająco. Ujął mnie pod brodę i spojrzał w oczy.

— Widzisz, jakoj ja przestępnik? Ja wiem, że ty nie zrezygnujesz z powrotu. Nie powiesz mi nawet, czy mnie choć troszkę lubisz...

*

Wiktor nie przychodził. Oczekiwałam go na umówionym miejscu. Przerzucałam z ręki do ręki małe kamyczki. Obok jednostajnie szemrał ariy. Wszystko zlewało się w jakiś wydłużony smutek. Upięknęły trzy zmierzchy. Kiedy się zjawił, policzki miał wpadnięte, oczy podkręcone ciemnymi obwódkami.

akacje

— Tamarka, miałam szczęście, że mogłam się urwać. Odejżdżamy do Taszkientu. Przenoszą mnie.

— Tak widocznie być musi — Witinka... Nie myślmy o tym teraz.

Odprowadziłam go za kanał do jednostki. Szliśmy wzdłuż równego koryta. Opowiadał mi znów o pędzelkach, o pięknych Taszkencie i o tym, że tu równie żyją artyści i mają swój bardzo ciekawy świat.

— Ileżby ci pięknych rzeczy pokazał! Byłbym zawsze z tobą i pracował dla ciebie. Kształciłabyś się...

Potrząsałam głową.

*

Z frontu nadchodziły pomysły wiadomości. Kucharka przedszkolna, podsycając dmuchaniem ognia pod piecem, podsycała również mnie dobrymi wiadomościami.

— Użę nasz blisko wasze wo Lubina. Skoro Tamarka ujedzie w swoją Polskę.

Pewnego dnia do kuchni weszła kierowniczka przedszkola z wiadomością, że ktoś na mnie czeka. Wybiegłam przed bramę.

Był bez czapki, w przepoczonej i okurzonej rubaszce. Chwiał się lekko na nogach jak pijany. Na dnie dużych oczu zamigotał płomyk uśmiechu.

— Tamareczka... głos załamał się i zawisł na ustach. Widziałam drżenie palców. Wy-

konał dłoń parę gestów. Zrozumiałam, że chciał dać znak, abym się zbliżyła. Podeszłam, objęłam gorącą rękę. Czuliśmy u nadgarstka przyspieszony puls. Dotknęłam nia policzka. Wytarłam pot i kurz.

— Nie chcę przerywać ci pracy. Wiem, że na ciebie jeszcze nie czas. Wracaj, ja pójdę nad Nar-Paj do tego parku i nad rzeką odpocznę trochę w cieniu akacji.

Przyszedł i cicho kucnął przy jego głowie. Objęłam rękoma pulsujące skronie. W tej chwili powieki mu opadły i zwiłgotniały. Nie poruszył się. Schyliłam się i pocałowałam w same usta. Objął dłońmi moją głowę. Gdzieś, jak przez gęstą zasłonę usłyszałam czyjś wulgarny śmiech. Wszystko co nas otaczało, było teraz obojętne.

— Bieglem 10 kilometrów. Nie potrafisz zmieścić w swojej głowie, ile nacierpiałem się, aby zrozumieć, że to już koniec, że nie zobaczę cię nig-

dy. Muszę dziś widzieć się z twoją matką, otrzymała jej zgodę i wreszcie odjechać spokojnie. Mogę wyjść z wojska. Stara się o mnie dyrektor taszkienckiej opery. Potrzebuje dekoratora. Brak ludzi. Wspaniały teatr — wtrącił pospiesznie. — Zareczam ci, że to przeprowadzi. Mieszkanie również mam otrzymać.

Oczy płonęły mu gorączkowo.

— Wojna już się kończy — podjął po chwili. — Przed nami teraz życie. Nasze wojska idą stale wprzód. Są już... — zawahał się i umilkł.

— No, powiedz?

Mleczkał.

— Już są w Polsce, Witia! — porwaliśmy go potrzęsając z całej siły. — Tak, Witia już są w Polsce! Jak się cieszę, jak bardzo się cieszę, mój kochany Witia!

Poderwał się z miejsca.

— Chodźmy, czasu mało, a chciałem jeszcze widzieć się z twoją mamą. Wierzę, że ona okaże mi więcej serca i zrozumienia niż ty — mówił z rozpaczą. — Mówiłem ci, że nauczę się twojej mowy. A potem pojedę z tobą, jak zechcesz. I tam na coś się przydam. Wszędzie mogę pracować. Zmieni się wiele. Ludzie zmierzają. Wojna ich nauczy. Dość nacierpieł się wszyscy razem. Wiele zmieni się, wierz mi — powtórzył jeszcze raz, a potem uśmiechnął się jak dziecko, —

Rywalizacja między lotnictwem i żegluga staje się coraz ostrzejsza. Samoloty gwarantują coraz szybsze i wygodniejsze podróże. W jaki sposób zamierza konkurować żegluga? O nowościach w tej dziedzinie pisze Józef Modrzejewski.

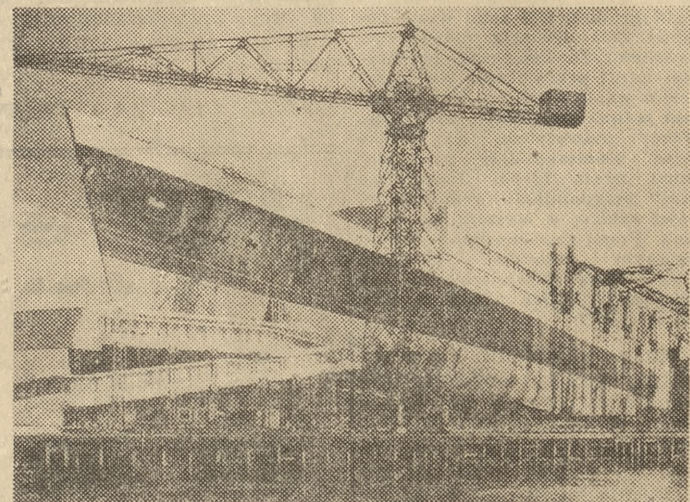
ZEGLUGA JUTRA

Słabo poinformowany Czytelnik, zadaje sobie często pytanie: jak to się dzieje, że w okresie ogromnego rozwoju lotnictwa, prym w przewożeniu pasażerów dźwiera ciągle powolne, wrażliwe na kołysanie statki?

Niektórzy próbują sobie to wytłumaczyć przyzwyczajeniem, niechęcią ponoszenia ryzyka podczas lotów itp. przyczynami, a w konkluzji przepowiadają w przyszłości zmierzch żeglugi morskiej. Faktem jest, że między statkiem i samolotem toczy się zacięta walka i armatorzy wcale nie myślą o rezygnacji.

STATKI — KOŁOSY

W stocznicach brytyjskich buduje się np. statek pasażerski „Canberra”, który będzie zabierał na swój pokład 2.250 podróżnych. Statek ma kursować na linii Anglia — Australia z szybkością 50 km na godzinę. Dążenie do maksymalnego powiększenia pomieszczeń pasażerskich, a więc do potania kosztów przejazdu — skłoniło armatorów amerykańskich do zaplanowania statku-giganta o pojemności ponad sto tysięcy ton, który będzie mógł zabrać 8.000 ludzi!



Jeden z morskich kolosów — „Queen Elizabeth”.

Radar nie wystarcza — góry lodowe wciąż groźne

Niedawno prasa podała wiadomość, jakoby wyłowiono butelkę z ostatnią wieścią ze statku „Hans Hedtoft”, który zatonął dnia 31 stycznia br. po zderzeniu się z lodowcem. Wiadomość okazała się blufem, ale znów przypominała o niebezpieczeństwie żeglugi na trasach obfitujących w góry lodowe.

Kiedyś wydawało się, że wraz z szybkim postępem techniki w żegludze niebezpieczeństwo zagrażające ze strony pływających lodowców będzie coraz mniejsze, ale były to barzo złudne przypuszczenia.

Prawda, że statek o napędzie mechanicznym nie był aż tak bezbrzydliwy przy spotkaniu z lodowcem, jak np. żaglowiec, który spotkał się z lodowcem podczas bezwzględnie ciszy morskiej i którego załoga nie mogła uczynić niczego by uniknąć niebezpieczeństwa zderzenia się z lodowcem. Napęd mechaniczny umożliwił jednakże w pewnej mierze statek od siły przyrody, ale równocześnie ze znacznym wzrostem szybkości statków parowych zwiększyła się możliwość najechania na lodowiec. Jak pisał znany kiedyś polski działacz duchowny na emigracji — o. Hieronim Kajsiński, który w 1864 r. odbył na parowcu „Damasus” pełną niebezpieczną podróż z Liverpool do Quebec, żegluga kompania montrealaska straciła na tej trasie w ciągu kilku lat osiem statków! O niektórych zaś ofiarach żeglugi na Morzu Grenlandzkim notował swe uwagi inny polski podróżnik połowy ubiegłego stulecia, Edmund Chęciński, który towarzyszył Napoleonowi III w wyprawie do rejonów polarnych, m. in. na Grenlandię.

W miarę upływu lat i wzrostu szybkości statków parowych niebezpieczeństwo rozbięcia się we mgle bądź najechania na lody wcale się nie zmniejszyło. Dowodem tego była katastrofa „Titanica” przed pół wiekiem, czy zagłada „Hansa Hedtofta” pół roku temu w cza-

Szybkość supertransatlantyka ma przekroczyć 65 km na godzinę.

Ale towarzystwa okrętowe i konstruktorzy zdają sobie sprawę, że jedynie tą drogą nie zdołają osiągnąć zdecydowanego powodzenia. Osiągnięcie jakiegos radykalnego postępu w budownictwie okrętowym jest możliwe tylko w przypadku zmiany rodzaju napędu i paliwa oraz kształtu „transoceaników”. Dotychczasowe jednostki pływające, mimo wszelkich udogodnień, są ponadto wrażliwe na ruch fal morskich. Trzeba więc sięgnąć do zupełnie nowych rozwiązań.

ZAMIAST 2 TYSIĘCY TON I KILOGRAM

Z tego powodu zainteresowania się energią atomową. Niedawno — jak pisaliśmy — wodowano w Leningradzie lodolamacz „Lenin”, wyposażony w siłownię, napędzaną przez trzy reaktory atomowe. Zaletą nowego napędu jest niemal nieograniczony zasięg pływania, zwiększenie nośności i szybkości statku.

Weźmy kilka cyfr dla porównania. Prototyp reaktora, przeznacz-

nego dla dużego zbiornikowca, waży tysiąc ton, podczas gdy ciężar siłowni spaliniowej z odpowiednim zapasem paliwa przekracza 3.700 ton. Dla uzyskania określonej energii cieplnej zużywa się albo 2.500 ton węgla, albo 1.800 ton ropy; a w przypadku zastosowania reaktora — tylko 1 kg uranu.

Tradycyjny statek zużywa na przebiegu Atlantyku 6.000 ton ropy. Zmniejszenie wagi i objętości paliwa pozwala przeznaczyć pomieszczenia statku oceanicznego na ładunek lub kabiny pasażerskie, lub też na zwiększenie mocy samej siłowni.

W Związku Radzieckim trwają także prace nad wyodrębnieniem uranu z wody morskiej. Obliczono, że w 1 m³ wody znajduje się 2-3 mg czystego uranu. Z wody morskiej będzie można uzyskiwać także ciężki wodór w postaci gazowej. Pomyślnie zakończenie wspomnianych doświadczeń uniemożliwi statek od źródeł zaopatrzenia na lądzie.

JAK ZWALCZYĆ FALOWANIE?

Ale sam napęd atomowy nie rozwiązuje jeszcze problemów przyszłości budownictwa okrętowego. Trzeba dokonać przełamania tzw. bariery falowania. Przy szybkości ponad 30 węzłów, opór fal wzrasta do 70 proc. oporu całkowitego.

I znowu konstruktorzy radzieccy wyszli z inicjatywą w zakresie zmiany form żeglugi. Wprowadzili szeroko — na razie do komunikacji na rzekach i wodach przybrzeżnych — tzw. wodoloty — jednostki wyposażone w skrzydła podwodne, które dają kadłubowi lepsze oparcie w wodzie. Statki typu „Rakietka”, posiadając silnik o mocy 900 KM, uzyskują szybkość 73 km/godz. i zabierają 66 pasażerów.

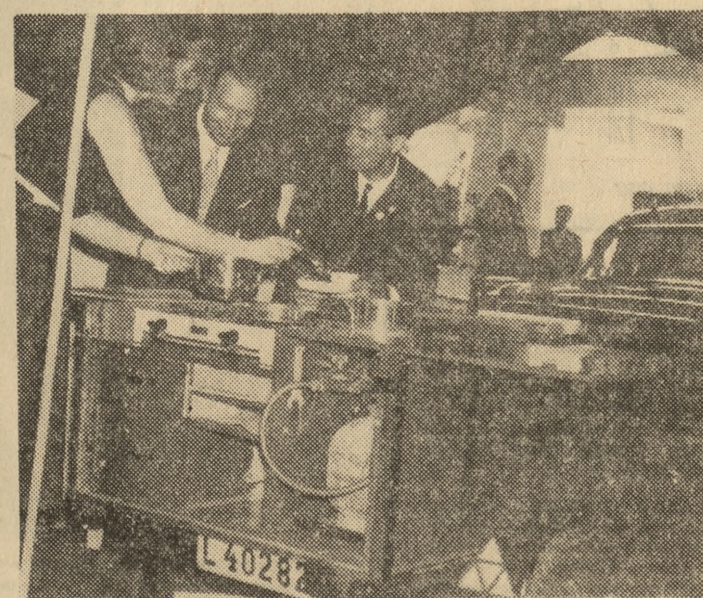
Inną formę żeglugi może stanowić poruszanie się statku na tzw. materacu powietrznym. Amerykanie planują zbudowanie takiego „wodnego, latającego go. talerza” (patrz zdjęcie) o pojemności 40 tysięcy ton, który osiągałby szybkość 100 węzłów (185 km na godzinę) i zabierałby 1.000 pasażerów. Rejs z Cherbourg do Nowego Jorku trwałby 32 godziny.

ELEKTRONOWE MÓZGI

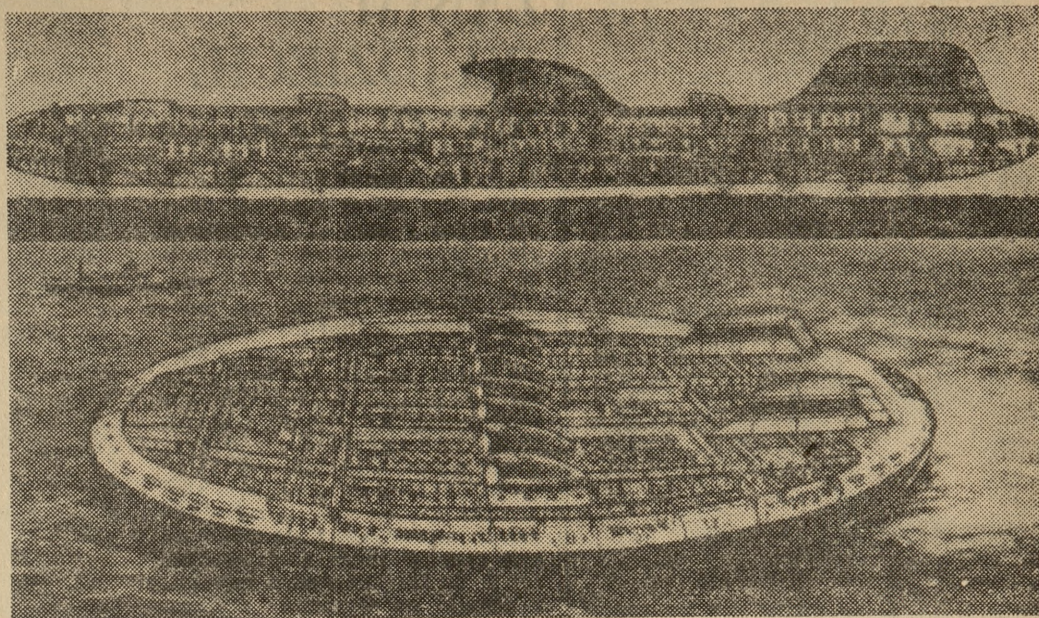
Przeprowadzano również inne doświadczenia. Podzielono kadłub statku na dwie, symetryczne połowy, połączone z sobą pomostem nadwodnym. Sruby umieszczono między kadłubami, przez co wydawnie zwiększyła się efektywność ich działania, czyli tzw. uciąż.

Bliski jest termin wprowadzenia na statki zautomatyzowanych kabin nawigacyjnych z mózganymi elektronicznymi, które kierowałyby napędem i poszczególnymi urządzeniami statku. Wtedy będzie można znacznie zredukować ilość załogi, która w przypadku „Canberry” liczy aż 600 osób...

Budownictwo okrętowe, a w ślad za nim żegluga morska — stoją wobec przełomowych zmian. Perspektywy, jakkolwiek na pozór fantastyczne, są jednak zupełnie realne.



Gazowa kuchnia na kółkach jako przyczepa do samochodu — to ostatni krzyk mody w dziedzinie sprzętu turystycznego w Szwecji.



Oto jeden z projektów żeglugi jutra, morski „latający talerz”, który niezależnie od pogody będzie mógł poruszać się na „poduszce powietrznej” tuż nad powierzchnią morza z szybkością około 100 węzłów. Przewiduje się, że wehikuł ten o średnicy 100 m. będzie mógł zabierać do 1000 pasażerów.

Nowości z kraju i ze świata

W Związku Radzieckim wodowano niemagnetyczny szkuner „Zaria”. Jest on zbudowany wyłącznie z drewna, mosiądzu, brązu i niemagnetycznej stali. Pierwszy rejs szkunera poza krąg polarny potwierdził wartość tego typu statku dla badań naukowych. Badania pola magnetycznego Ziemi prowadzone z tego szkunera, są pozbawione błędów, jakie sprawiały stalowe i żelazne części innych statków badawczych.

Okazuje się, że pod Bałtykiem jest nafta. Zachodnio-niemiecki instytut geologiczny w Kilonii od kilku lat prowadzi próbną wiercenia nad brzegami Bałtyku. Jedno z wierceń osiągnęło 1600 metrów głębokości (licząc od poziomu morza). Natrafiono na pokład ropy naftowej, który nadaje się do eksploatacji. Obecnie uczeni niemieccy badają rozległość złóż.

Uczni rozpatrują możliwość sięgnięcia po morską wodę do celów przemysłowych i spożywczych. Zawiera ona w litrze od 7-40 g. soli kuchennej oraz pewne ilości 44 różnych innych rodzajów soli. A do celów rolniczych można użyć wodę o zasoleniu 1,2 g na litr; do picia — 0,8 g. Destylacja wody w aparaturze, w której panuje mniejsze ciśnienie, niż atmosferyczne, nie rozwiązuje sytuacji: 1 litr wody pochłania energię 0,04 kWh.

Amerykanie rozmyślają nad wprowadzeniem do wybrzeży swego kraju gór lodowych z Antarktydy, lód bowiem — jak wiadomo — nie zawiera soli. Wówczas koszt 1 litra wody byłby 300-krotnie niższy niż przy stosowaniu destylacji.

A. C.

Przyszłość medycyny należy do maszyn matematycznych

Prof. dr Antoni Horst, rektor Akademii Medycznej w Poznaniu mówi o międzynarodowej konferencji elektroniki medycznej, która niedawno odbyła się w Paryżu.

— Ogólnym wrażeniem, jakie wyniosłem z konferencji w Paryżu, jest prawdziwa „inwazja” techniki elektronicznej w naukowe badania z zakresu biologii i medycyny. Rola elektroniki staje się w tych dziedzinach naprawdę ogromna: większość czynności fizjologicznych układu krążenia, oddychania, trawienia, nerwowego, mięśniowego itp. można już dziś badać przy pomocy odpowiednich urządzeń elektronicznych. Uzyskujemy dzięki temu wysoki stopień obiektywizacji i wielką dokładność pomiarów, co jest praktycznie nieosiągalne „klasycznymi” metodami badań.

— Na konferencji miały być między innymi referowane badania za pośrednictwem miniatury, „pigulek radiowych”, polikanych przez pacjenta i drogą telemetryczną informujących o zjawiskach zachodzących w obrębie przewodu pokarmowego?

— O tego rodzaju „polykanych mikrostatkach” mówiło się sporo. Wydaje się, że mogą one z czasem wyeliminować tradycyjne metody sondażu, dostarczając bezpośrednich i ciągłych, wielogodzinnych informacji o pracy przewodu pokarmowego. Urządzenie to, wynalezione stosunkowo niedawno — doprowadzono już do stanu daleko posuniętej perfekcji technicznej. Udowodnił to zresztą osobiście jeden z uczestników konferencji, polykając tego rodzaju miniaturę „sondę radiową” i demonstrując jej działanie podczas prelekcji.

— Jaki kierunek badań elektroniki medycznej najsilniej zaznaczył się w obradach konferencji?

— Niewątpliwie — zastosowanie automatycznych elektronicznych maszyn matematycznych. Jako przykład konkretnych osiągnięć w tej dziedzinie można by przytoczyć wyniki badań współzależności między tak zwaną przemianą cholesterolu i występowaniem schorzeń nowotworowych. Dzięki zastosowaniu automatycznych maszyn matematycznych można było — w sposób bardzo szybki i efektywny — wysnuć szereg konkretnych, bardzo istotnych wniosków z kilkudziesięciu tysięcy przebadanych przypadków. Zagadnienia, których opracowanie metodami „klasycznymi” zajęłoby szereg miesięcy, udaje się dziś rozwiązywać nieledwie w ciągu kilku minut.

— Na konferencji paryskiej — ciągnie prof. Horst — referowano również wyniki wstępnych prób zastosowania elektronicznych maszyn matematycznych na odcinku tak zwanej różnicowej diagnostyki chorób. W „pamięci” maszyny rejestruje się szereg informacji, dotyczących częstości i nasilenia typowych objawów poszczególnych chorób. Następnie dostarcza się jej informacji na temat objawów chorobowych konkretnego pa-

cjenta. Maszyna — na podstawie odpowiedniej analizy porównawczej — rozpoznaje chorobę, podając jednocześnie stopień prawdopodobieństwa słuszności postawionej diagnozy.

— Czy w związku z tymi niewątpliwie rewelacyjnymi osiągnięciami można już dziś mówić o zbliżaniu się w medycynie epoki jakiegos rodzaju „automatycznej diagnozy elektronicznej”?

— Byłoby to z pewnością przedwczesne. Trudno zresztą w pracy automatycznych maszyn matematycznych doszukiwać się pierwiastków owej „intuicji zawodowej”, jaka z reguły cechuje dobrego lekarza, a niezbędna jest do postawienia właściwej, w pełni uzasadnionej i słusznej diagnozy. Z drugiej strony nie ulega jednak wątpliwości, że rola maszyn matematycznych w medycynie jest już dziś mogłaby być ogromna, a w przyszłości — będzie jeszcze rosnąć. Szybka i efektywna analiza owej lawiny informacji, uzyskiwanych z różnych „kanałów badawczych”, wykracza w praktyce poza możliwości człowieka. Zastosowanie maszyn matematycznych stanowi w tych warunkach potężny środek pomocniczy w rękach badacza. Dlatego — kończy prof. Horst — wydaje mi się, że zagadnienia fizyczne i matematyczne będą odgrywać coraz większą rolę w rozwoju biologii i medycyny i do nich właśnie należy w pewnym sensie przyszłość nauk lekarskich.

Rozmawiał: Inż. Ryszard Doński

O fenolu — inaczej

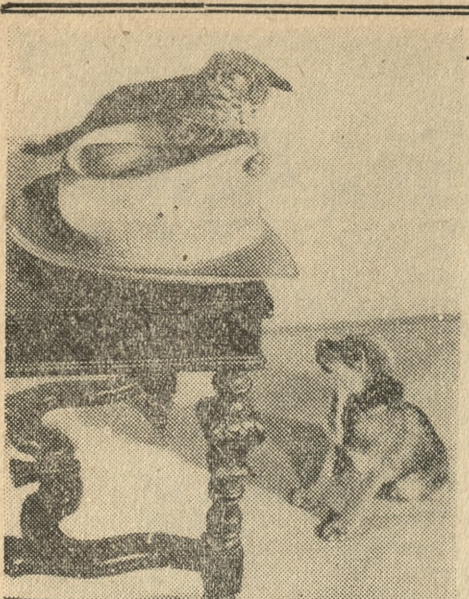
Na ogół narzekamy na niego, gdy podnoszą się skargi na „zafenolowanie” naszych rzek. Poza tą ujemną stroną fenolu (z którą przecież przy pomocy nowoczesnych środków technicznych można sobie poradzić) jest on niezwykle cennym składnikiem smół, otrzymywanych z węgla przy procesie robót chemicznych. A właśnie na tę przeróbkę, na pełniejsze wykorzystywanie własności węgla, nawiązuje się obecnie nasza chemia.

Poważne ilości fenolu zawierają wody ściekowe zakładów koksowniczych. W ściekach koksowniczych zawartość fenolu jest niemal równa jego zawartości w wytworzonej jednocześnie smołe. Toteż odpowiednie oczyszczanie ścieków przynosi duże korzyści gospodarcze. Proces ten polega na wydobyciu ze ścieków koksowniczych fenolanu, z którego następnie drogą chemiczną przeróbki wyciąga się zawarte w nim fenole.

Fenol jest stosowany w przemyśle chemicznym, przy produkcji tworzyw sztucznych i przy syntezie wielu produktów organicznych. Drogą odpowiednich połączeń, otrzymuje się z niego kleje oraz żywice sztuczne dla przemysłu lakierniczego i elektrotechnicznego. Fenol jest także materiałem wyjściowym do produkcji stylonu, oraz butadienu — jednego ze składników syntetycznych kauczuku. Powstaje z niego szereg leków oraz barwników. Fenol stanowi ponadto surowiec do produkcji środków owadobójczych i chwastobójczych itd. (k)

Jerzy Kaper

Fot. — CAF



— Myślisz, że na ciebie nie ma sposobu? Jest, i to bardzo prosty. Potrzebny jest kapelusz...



...przy pomocy którego celnym rzutem...



...wprowadzamy wroga w lekkie oszołomienie, aby w następnej sekundzie...



...móc pozować do zdjęcia z miną Aleksandra Macedońskiego.

ZANIM WYJDZIECIE NA PLAŻĘ

MORZE, NASZE MORZE — refren tej starej piosenki nuca nie tylko rybacy i marynarze, ale również lekarze. Poczynili oni następujące obserwacje:

Widok rozkołysanych fal morskich wpływa bardzo dodatnio na ludzi nerwowych. Jednak muszą oni stopniowo przyzwyczajać się do silnego promieniowania słonecznego, do zimnej i słonej wody. Również ludzie o słabym sercu winni rozsądnie korzystać z uroków kąpeli morskiej i słońecznej. Trzeba poza tym pamiętać, że morze jest niesprawiedliwe: grubasy mogą siedzieć dłużej w wodzie niż ludzie szczupli, z uwagi na warstwę tłuszczu chroniącą ich przed zbyt nym ochłodzeniem. Dzieci powinny rozpocząć kąpiele od 5 minut.

„Substancjami leczniczymi” morza określić można przede wszystkim powietrze (wysoka zawartość jodu) oraz duże nasłonecznienie. Poza tym fale w pewnym stopniu spełniają rolę masażysty.

Jednak dobroczynnego działania morza nadużywać nie można. Świadczy o tym takie objawy, jak udar słoneczny, poparzenia oraz „upojenie” — i to wcale nie alkoholowe. Wczasowicz wyżywający się fizycznie przez cały dzień, nie odczuwa zmęczenia, jest raczej podekscytowany, ale często cierpi na bezsenność, która pcha go do nocnych lokali. Te pochodne „upojenia” niwelują lecznicze działania morskiego klimatu.

Jak właściwie winna przebiegać wzorowa kuracja?

Najpierw spacer przed śniadaniem (także przed obiadem). Morskie powietrze skłania do głębokiego oddechu, reguluje przemianę materii, działając leczniczo na schorzenia dróg oddechowych. W czasie kąpeli przenikają do skóry zawarte w wodzie minerały i sole. Oczywiście — taki spacer znakomicie wpływa na apetyt. Po śniadaniu zaleca się dwugodzinne leżakowanie, którego nie powinno się zaniedbać nawet przy silnym wietrze lub chłodniejszej pogodzie. Dla osób o białej i delikatnej cerze ostrzeżenie: unikajcie nadmiernych kąpeli słonecznych! Przed obiadem znów dłuższy spacer. Najzdrowszą i najefektowniejszą formą opalania się nie jest nieruchome leżenie, lecz wędrówki po plaży, gra w siatkówkę itp.

Niektórzy lekarze twierdzą, że słoneczne okulary uczulają oczy na światło, pozbywają je wpływu promieni podfioletowych, a tym samym szkoda oczom, które bez tego przystosowują się do nadmorskich warunków słonecznych. Inni lekarze mówią znów zupełnie coś innego. Od siebie radzimy: okulary zabierzcie. Białą czapkę na głowę również. (eki)



Plażowa moda męska jest nieodmienna. Toteż dwa modele dla pań: u góry — kostium kąpielowy, oczywiście nie do wody lecz na plażę. Góra w formie pelerynki (bardzo modne). U dołu bluzeczka na chłodniejsze popołudnia, praktyczna nie tylko nad morzem. Jak widać, paski w dalszym ciągu utrzymują się.



fantazja CZY RZECZYWISTOŚĆ?

Opracował: A. TREPKA

DETEKTOR i „PROJECT MAGNET”

Kiedy zawiodły próby odbierania sygnałów radiowych wysyłanych jakoby przez „latające talerze”, postawiono sobie skromniejszy cel: wykrywanie i rejestrowanie ich przelotów przy użyciu specjalnych detektorów. Pierwsze, niezmiernie proste urządzenie tego typu, udoskonalili do stanu praktycznej użyteczności Keith Cartwright, członek Australijskiego Towarzystwa Poszukiwania Latających Spodków. W jego artykule zamieszczonym na łamach australijskiego czasopisma „Post” czytamy między innymi:

„Zauważono, że z chwilą zbliżania się latających spodków kompas ulegał zupełnemu rozregulowaniu: igła magnetyczna zaczynała beznadziejnie wirować dookoła osi. Dlaczego więc nie połączyć dzwonka elektrycznego z igłą kompasu w ten sposób, że gdy odchyła się ona od zwykłego kierunku wskazującego bieguna magnetycznego Ziemi i dokona pełnego obrotu, zjawisko to zostanie zasygnalizowane?”

Tego rodzaju próby dały w wielu wypadkach pożądane rezultaty. Przykładowo przytoczę relację A. Millikana, który we własnym zakresie zbudował podobny detektor.

„27 grudnia 1953 roku około godziny 22.15 dzwonek zadzwiezał. Sądziłem, że niechcący poruszyłem igłę i przez chwilę nie zwracałem na to większej uwagi. Potem jednak wyszedłem przed dom. Wtedy zauważyłem, że bardzo jasny niebiesko-biały przedmiot sunął przez niebo. Tajemnicze „coś” przypominało średniej wielkości rakietę z błyszczącym ogonem. Przed zagasnięciem zabłysło zielonym światłem. Zjawisko trwało około trzech sekund i nie towarzyszyły mu żadne efekty akustyczne.”

Trzeba nadmienić, że urządzenia te są tak czułe, że natychmiast reagują na poruszenie w pobliżu przedmiotów żelaznych lub stalowych; w związku z tym instaluje się je w miejscu możliwie oddalonym od urządzeń elektrycznych, metalowych mebli itp. Dlatego są one w stanie reagować również na przelot większego syderytu — meteoru żelazo-niklowego. Meteory te pojawiają się jednak bardzo rzadko.

Program badań obejmował dwie części. W pierwszej chodziło o zebranie maksymalnej ilości danych rzeczowych, opartych na najbardziej solidnych podstawach, przeanalizowanie ich i wyciągnięcie wniosków. Druga część dotyczyła systematycznego badania podstawowych koncepcji w nadziei znalezienia w nich jakiejś niezgodności, która mogłaby stać się kluczem do zastosowania nowej technologii.

Niestety — plagą paraliżującą wykonywanie programu okazali się dziennikarze, którzy wkroczyli na niewłaściwą drogę, szukając doraźnych efektów, i to efektów o aspekcie politycznym. Przybrało to takie rozmiary, że w wyniku zarządzenia Departamentu Transportu, we wrześniu 1954 roku „Project Magnet” przestał istnieć.

Wnioski osiągnięte przez „Project Magnet” brzmiały następująco: zachodzi 91 proc. prawdopodobieństwa, że przy najmniej niektóre zaobserwowane zjawiska są obiektami o nieznanym pochodzeniu, a 60 proc. prawdopodobieństwa wskazuje na pozaziemskie ich pochodzenie.

DALSZY CIĄG ZA TYDZIEŃ



— Najmocniej przepraszam, myślałem że w łodzi nie ma nikogo...

Rozwiązanie krzyżówki



Nagrody książkowe za nadesłanie trafnych rozwiązań ostatniej krzyżówki otrzymują: z Poznania — Halina Jankowiak, ulica Łukaszczyka 17; Jadwiga Gorzan, ulica Piaskowa 3; L. Spychalski, Rybaki 16; F. Jesionowski, ulica Piękna 63; M. Pawlak, ul. Ogrodowa 9 oraz Manuela Szczepankiewicz — Strzałkowo, Fiszbach — Września, W. Stefańska — Luboń, M. Machaj — Leszno i T. Górski z Szamotuł. Nagrody wysyłamy pocztą.

Policjanci i manekiny



Ta groteskowa scena przestaje być zabawną, gdy dowiadujemy się, że za chwilę odbędzie się w łasku Saint-Germain pod Paryżem rekonstrukcja zbrodni dokonanej tam w kwietniu br. W łasku tym zamordowana została sekretarka przychodni psychologicznej Ariette Donier przez psychopatę Guy Treberta.

W ujęciu mordercy pomógł bardzo ciekawy eksperyment. Mianowicie zeznania świadków, którzy widzieli A. Donier przed śmiercią w towarzystwie nieznanego, dotyczące jego wyglądu, posłużyły jednemu z rysowników do stworzenia rysunku, przedstawiającego podejrzanego. Rysunek został umieszczony następnie w dzienniku. Już nazajutrz rozpoznano w nieznanym Guy Treberta.



BEZ SŁÓW

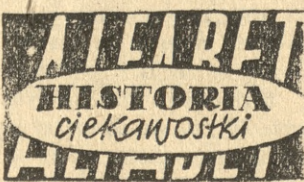
NAPACHANIE — w powiecie poznańskim — być może od „napachać się” (nawachać się). Również może być od „pachać”, czyli orać. Wieś już istniała w r. 1394.

NARAMOWICE — dziś część Poznania. W r. 1366 dzierżył je „Naram de Naramowice”. Naram, naramek — to naramienik, a naramny — przedki, ogromny.

NAROŻNIKI w powiecie wolsztyńskim zanotowane zostały w r. 1777.

NART, NARTY — tych nazw, nie wsi, ale miejsc (las, łąka, pole) naliczyłem 16 w województwie, większość już zapomniana.

niana. Nart, inaczej nort, nie ma wspólnego z nartami — raczej z kątem leśnym.



NADNIA pod Zbąszynem już była w r. 1320. W roku 1329 zapisani zostali Samczykowice, potem jacyś Watkowice. Co to

znaczy Nądnia? Osiedle, gdzie jest nudno.

NIAŁEK MAŁY w powiecie wolsztyńskim. Korzystam z notatek uprzejmie przesłanych mi przez p. Józefa Józefowskiego: niegdyś dwór rycerski Jeleni — Niałków po wschodniej stronie jeziora Niałek (dziś Jezioro Berzyńskie).

NIAŁEK WIELKI — wieś także nad jez. Niałek — gniazdo wyżej wspomnianego rodu. Już papież Adrian IV w bulli z r. 1154 wymienia miejscowość „Nalcho”, zatwierdzając posiadłość kościoła wrocławskiego. W r. 1238 istniał tu już kościół. (jp)